

JOW-Y TO NIE JEZUS CHRYSZTUS

ARTUR HELIAK

Michał Wirtel w artykule „Czy JOW-y zbawią świat” bierze pod lupę ordynację większościową, co nie jest samo w sobie zaskakujące, ale dziwi w przypadku osoby, która w biogramie deklaruje się jako zwolennik wolnego rynku. Otóż nic tak nie reglamentuje dostępu do zawodu polityka jak właśnie obowiązująca ordynacja proporcjonalna, koncepcja XIX-wiecznych socjalistów, która zyskuje w osobie Michała Wirtele sprzymierzeńca. Idee socjalistyczne w obozie KoLibra są dla autora tej polemiki swoistym *novum*, dlatego z tym większym zaciekawieniem sięgnąłem po artykuł.

Okręgi większościowe nie są drogą do zbawienia. Zgoda. Nie są też lekiem na całe zło. Są sposobem na restaurację przetrąconych przez historię polskich elit, na przywrócenie odpowiedzialności za słowo, na o niebo lepszą Polskę. Tylko tyle i aż tyle.

JOW-Y W SAMORZĄDZIE

Autor w sprawie JOW-ów myli się już na początku: „Zasadniczą wadą jest mała reprezentatywność – o wyniku wyborów decyduje mniejszość, a potężna część wyborców w okręgu nie ma swojego przedstawiciela”. Tak nie jest. Inny miałem kontakt z radnymi, mieszkając we Wrocławiu, zupełnie inny mam teraz, gdy przeprowadziłem się tuż za granice miasta. W dużych ośrodkach obowiązuje ordynacja proporcjonalna, w mniejszych – od niedawna większościowa. Dzięki zamieszkaniu dwieście metrów od granic Wrocławia mam jednego konkretnego radnego, który jest moim reprezentantem. Najmniej interesuje mnie to, z jakiego komitetu startował. Ważniejsze jest to, że znam jego nazwisko, numer telefonu komórkowego, na moje SMS-y odpowiada w ciągu kilku godzin, a przy ostatniej akcji społecznej dwoił się i troił, by aktywnie w niej uczestniczyć. Bo im mniejszą różnicą głosów wygrał i w logice Michała Wirtele reprezentuje mniejszą grupę mieszkańców, tym bardziej się stara, tym ciężiej

jest zmuszony pracować. Drugorzędną kwestią staje się to, czy głosowałem akurat na niego, czy na kogoś innego. Czy brałem czynny udział w wyborach, czy zostałem w domu. Zdobywając mandat, zostałem moim przedstawicielem i mogę od niego wymagać tyle, ile od radnego wymagać się powinno. Gdy zawiedzie mieszkańców, wtedy żadne miejsce biorące mu nie pomoże. Żadne namaszczenie aparatu partyjnego, billboardy i spoty telewizyjne, żaden budżet na kampanię czy wewnątrzpartyjne gierki nie zapewnią mu reelekcji – jeżeli w trakcie swojej kadencji wykaże się ignorancją, nieudolnością, złą wolą czy lenistwem, jego kariera jest skończona. On to wie i ja to wiem. Czyli zupełnie jak w ordynacji proporcjonalnej, tylko że odwrotnie.

Zameldowani we Wrocławiu, gdzie nadal obowiązuje ordynacja proporcjonalna, o takich relacjach z radnym mogą jedynie pomarzyć. O tym, kto będzie rządził w radzie miejskiej, nadal rozstrzyga ilość pieniędzy na kampanię, kontakt z mediami, partyjny sztyl czy namaszczenie lidera. Coś za coś. W takim układzie asertywność, własne zdanie, przedłożenie interesu mieszkańców nad interes ugrupowania nie wchodzi w grę z prostej przyczyny: w kolejnych wyborach, które każdego dnia pełnienia mandatu stają się bliższe, lepiej dostać miejsce biorące, niż zostać pominiętym przy układaniu list. Zaskakuje, że w artykule jest mowa o gerrymanderingu, a nie wspomina się ani słowem o dużo większym zagrożeniu, jakim jest w praktyce ustalanie znacznej części Sejmu, zanim do urny wpadnie jakakolwiek karta. I autor potem się dziwi, że premier rządu Beata Szydło z dystansem podchodzi do swoich pozytywnych doświadczeń dotyczących JOW-ów. W ordynacji proporcjonalnej osobiste doświadczenia są najmniej ważne. Reelekcję zapewnia aparat partyjny, to wobec niego trzeba być lojalnym. Ma on zasadniczy wpływ nie tylko na to, które miejsce kandydat otrzyma na liście czy ile pieniędzy będzie miał na kampanię, ale, co najważniejsze, czy na tej liście w ogóle się znajdzie. Dlatego w parlamencie reprezentuje przede wszystkim interes tej jakże nielicznej, ukrytej w gabinetach grupy. A jej interes często nie idzie w parze z interesem społeczeństwa. W JOW-ach Beata Szydło mogłaby startować do Sejmu samodzielnie, w Polsce – nie. Jeżeli premier nie ma tu takiej minimalnej retorycznej samodzielności, łatwo sobie wyobrazić schemat myślenia szeregowego posła z tylnej ławy parlamentu.

NA ŚWIECIE

Nie istnieje też przywoływana przez autora światowa tendencja do odchodzenia od JOW-ów. W Wielkiej Brytanii w tej sprawie odbyło się nawet referendum, w którym zwolennicy odstąpienia od systemu westminsterskiego ponieśli sromotną klęskę. W Kanadzie tamtejszy premier właśnie wycofał się z pomysłu zorganizowania podobnego głosowania. Justin Trudeau twierdzi, że słucha wyborców, a ci mówią mu wprost, że nie chcą takiej zmiany. W innych krajach, gdzie działają JOW-y, np. w USA, Kanadzie, Indiach czy Australii, te pomysły są oczywiście przedmiotem debaty, ale

wynika to z tego, że tam faktycznie rozmawia się o sprawach istotnych. Również dzięki JOW-om. Bo nie jest prawdą, że „w okręgach pewnych wybory stają się czystą formalnością, a realna konkurencja ma miejsce tylko w okręgach wahadłowych”. Spójrzmy na przykład Wielkiej Brytanii. Gdyby tak było, posłowie nie byłoby regularnie dostępni dla obywateli, którzy chcą z nimi porozmawiać, nawet bez wcześniejszego umawiania się. Nie przygotowywaliby cotygodniowych raportów o tym, czym zajmowali się przez ostatnie siedem dni. A do małej społeczności nie fatygowałby się prezydent USA tylko po to, by wesprzeć w kampanii swojego sojusznika, kandydata na posła, premiera Tony'ego Blaira. Ale jeżeli to nie przekonuje, spójrzmy na przykład brytyjski i nie cofajmy się dalej niż trzy tygodnie. Tam w wyborach uzupełniających wygrała właśnie Trudy Harrison, kandydatka konserwatystów, wyprzedzając zdecydowaną faworytkę, Gillian Troughton z Partii Pracy, o 2147 głosów. Warto wspomnieć, że od czasu utworzenia okręgu Copeland w 1982 roku, zawsze wygrywali tam Labourzyści. Poprzedni okręg, o nazwie Whitehaven, od 1935 roku też był reprezentowany przez Partię Pracy. Trudno więc chyba o przykład okręgu bardziej „pewnego”? A jednak wynik zaskoczył. W JOW-ach, we wszystkich okręgach, kampania jest zacięta, a wyniku nie można być pewnym do samego końca. Ten przykład pokazuje też, jak niewiele wspólnego z rzeczywistością ma teza Michała Wirtela o tym, że w JOW-ach „najwierniejszych” nagradzono by okręgami „pewnymi” – np. lojalny członek PiS-u startowałby z Nowego Sącza, a działacz PO z Gdańska. W obu przypadkach – wybór muirowany. Są okręgi łatwiejsze i trudniejsze, ale pewne nie istnieją.

Przywoływana w tekście zmiana w Szkocji jest o tyle ciekawa, że po niej możliwe jest porównanie posłów wybranych w ordynacji proporcjonalnej z tymi nadal wybieranymi w JOW-ach. Badania pokazują, że posłowie „proporcjonalni” rzadziej spotykają się osobiście z wyborcami oraz mniej chętnie otwierają biura poselskie w okręgach, skąd byli wybrani. Jeżeli to ma być ta pozytywna zmiana, to pojawia się pytanie, czy dobrze rozumiemy sens i istotę pracy osoby delegowanej do parlamentu. Okazuje się, że to nie mentalność, tradycja demokracji, dojrzałość społeczeństwa są kluczowe – ważniejszy jest mechanizm wyboru. To on determinuje zachowania polityków.

O SENACIE RAZ JESZCZE

Przykład Senatu, który faktycznie opiera się na ordynacji większościowej, a w opinii autora „*nic nie wskazuje na to, żeby po wprowadzeniu JOW-ów jakość pracy (...) wybitnie się polepszyła*”, jest półprawdą. Po pierwsze senackie okręgi są za duże i nadal uniemożliwiają realny kontakt z wyborcą. Ta dominująca w ruchu na rzecz JOW-ów opinia w tekście jest przemilczana, a stanowi meritum funkcjonowania proponowanej przez niego zmiany. Okręgi muszą być małe, tak by kampania była bezpośrednia, a nie oparta na mediach. Jakość pracy izby jest trudna do oceny, jednak gołym okiem widać, że w tym gronie jest zdecydowanie mniej osób przypadkowych, czy

w porównaniu z Sejmem, mówiąc delikatnie, zbyt barwnych i ekstrawaganckich. Izba jest znacznie bardziej dostojna i mimo wszystko cieszy się większym prestiżem. Choć oczywiście nie jest to stan idealny, również dlatego, że kandydaci niezależni są dyskryminowani w niezmiernie istotnych niuansach prawa wyborczego – na przykład później mogą rozpocząć zbiórkę funduszy na kampanię, które ze względu na wielkość okręgów nadal odgrywają zbyt dużą rolę. A pamiętajmy, że w odróżnieniu od kandydatów partyjnych, są pozbawieni finansowania budżetowego. W efekcie, gdy konkurenci mają już rozwieszane billboardy, kandydat niezależny nadal musi zbierać podpisy czy walczyć o nadanie mu numeru NIP, bez którego nie może nawet założyć dla swojego komitetu konta w banku. Tym samym nie jest w stanie nie tylko wydawać pieniędzy, ale nawet ich zbierać. W takiej sytuacji jest oczywiste, że kandydaci niezależni nie zdobywają mandatów gremialnie. Kampania nie trwa długo, ma swój bardzo restrykcyjny kalendarz. W tym wyścigu strata dwóch, trzech tygodni to zazwyczaj więcej niż parę belek w skokach narciarskich. A pamiętajmy, że partie mogą prowadzić kampanię praktycznie bez przerwy. Trudno wygrać sprint, gdy sędziowie uznają falstart konkurentów za grę fair play. Nie dziwnym jest zatem, iż zwyciężają niekoniecznie najlepsi.

WYZNAWCY „PROPORCJONALNEJ”

Z ciekawością pochyliłem się też nad rozwiązaniem proponowanym przez autora. Powszechne prawyборы, które byłyby według niego rozwiązaniem najlepszym, uznaje od początku za nierealne. Dlaczego? Czy przypadkiem nie dlatego, że obecny system zożydził politykę na tyle, że bycie członkiem partii czy choćby jej sympatykiem to dla większości najzwyczajniej w świecie wstyd, naiwność albo cwaniactwo? Trudno by mi było wyobrazić sobie takie prawyборы dzisiaj. Jeżeli niektóre partie mają problemy ze skompletowaniem list, to skąd wziąć tylu chętnych do udziału w prawyborach? Do kandydowania i głosowania? O czym one miałyby rozstrzygać, kto brałby w nich udział, skoro to właśnie ordynacja proporcjonalna sprawia, że wszystkich członków partii politycznych płacących składki można zmieścić na jednym stadionie? To właśnie obowiązujący system sprawia, że Polacy stronią od partii i polityki, że ze świecą szukać sympatyków. Prawyборы są powszechną praktyką tam, gdzie są JOW-y. Bo nie głosuje się na mniejsze zło, a na dobro. Rację ma autor, twierdząc, że przyjdzie nam na nie jeszcze poczekać. Nie zauważa jednak, że to czekanie na Godota. Właśnie dlatego trzeba ten system zmienić, a nie pudrować. Rozumieją to Polacy, którzy pomimo niskiej frekwencji w referendum, zdecydowanie opowiedzieli się za ordynacją większością (niemal 80 procent głosów „za”).

„Alternatywą mogłoby być pozostanie przy systemie proporcjonalnym, ale wprowadzenie mniejszych okręgów (gdzie wybierano by po kilku posłów, zamiast po kilkunastu)” – to kolejny pomysł przedstawiony przez autora. Abstrahuje on od zasadniczej wady

aktualnego systemu, czyli znacznego ograniczenia biernego prawa wyborczego (kandydat nie może zgłosić się sam, musi go zgłosić komitet, do jego rejestracji potrzebne są tysiące podpisów, po rejestracji trzeba zbierać kolejne tysiące, wraz z numerami PESEL, czyli danymi wrażliwymi – temat na osobą rozprawkę), uprzywilejowania w trakcie kampanii kandydatów partyjnych wobec niezależnych, wiodącą rolę mediów czy kreacji outdoorowych (w Wielkiej Brytanii billboardy są zakazane), a przede wszystkim utrzymania możliwości zablokowania dowolnej osoby poprzez niewpisanie jej na listę. „A i jedynek do obsadzenia byłoby więcej” – zachwala swoją alternatywę Michał Wirtel”. Ech, gdyby tak dobro miało swoje źródło w ilości *jedynek*, potęgą nawiązalibyśmy do najlepszych polskich tradycji. Tylko że wtedy wcale ich nie było, a nasz parlamentaryzm uboższy o nie był prawdziwą demokratyczną inspiracją na skalę światową. I do tych tradycji musimy powrócić. Im szybciej, tym lepiej.



ARTUR HELIAK

Absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego; jeden z liderów akcji zmieleni.pl, Koordynator ds. PR i Mediów Ruchu JOW; trzy lata spędził w Londynie, gdzie z bliska zapoznał się z tematyką polskiej emigracji i funkcjonowaniem państwa opartego o jednomandatowe okręgi wyborcze; publikował m.in. w tygodniku „Uważam Rze” oraz „Rzeczpospolitej”.

KOREKTA: Marcin Sobiczewski, Anna Karczmarek

SKŁAD: Weronika Panecka